Leszczynski, Edward
Ballady i piesni

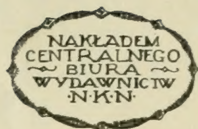
DWARD LESZCZYŃSKI

ALLADY I PIEŚNI



AKÓW 1·9·1·6

ALNE BIURO WYDAWNICTW N. K. N.


NAKŁADEM
CENTRALNEGO
BIURA
WYDAWNICTW
·N·K·N·



EDWARDA LESZCZYŃSKIEGO BALLADY I PIEŚNI

NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA WYDAWNICTW N. K. N. W KRAKOWIE NA POMNOŻENIE FUNDUSZU WDÓW I SIERÓT PO POLEGŁYCH LEGIONISTACH

1916

TEGOŻ AUTORA:

/POEZYE/ CUPIO · DISSOLVI POEMAT/ PŁOMIEŃ · OFIARNY POEZYE/ JOLANTA · POEMAT DRAMATYCZNY/ WIOSENNE NIEBO · POEZYE/ KONIK ZWIERZYNIECKI · WIDOWISKO SCENICZNE/ KABARET · SZALONY · POEZYE/ HARMONIA SŁOWA · STUDYUM O POEZYI/

ODBITO · CZCIONKAMI · DRUKARNI NARODOWEJ · W · KRAKOWIE W · MARCU · 1916.



WINIETĘ · TYTUŁOWĄ · WYKONAŁ
STEFAN · FILIPKIEWICZ.

PRZEDMOWA.

»Na świat wam pilno? — i po co? Na świecie zgiełk orężny — mrok krwawy. Ojczyzna waszych dźwięków od łun pożarnych oślepła, od huku armat ogłuchła, od męki czekania zmartwiała. Któż was dowidzi? dosłyszy? Urodziłyście się wczora — tego wczora już niema; gwiazdy, które waszym narodzinom świeciły, cofnęły się w głąb nieba, spłoszył je blask złowieszczy krwawego Marsa rydwanu. Doprawdy lękam się o was. Jak wy będziecie wyglądać, dzieci niebaczne? Jak wy będziecie wyglądać bez miecza i bez przyłbicy, bez piór szyszaka na głowie? Nie lepiej wam u mnie pozostać? W szufladzie mego biurka nie lepiejby wam było, niż za wystawą sklepową, albo na półkach

księgarskich? Nudzić się tam będziecie długo a gruntownie — w towarzystwie — częstokroć — więcej niż podejrzanem. A w końcu — w końcu czeka was pewnie — nie taję tego przed wami — mroczna zatęchła piwnica, pełna nieczystej bibuły«.

Lecz pieśni moje odrzekły: »nie lękaj się o nas tak bardzo. Sąsiedztwa na półkach księgarskich bywają — coprawda — nudne i dokuczliwe, ale na szczęście zmieniają się one — zazwyczaj tem częściej im mniej mają do powiedzenia, a co do losu w piwnicy nie jest on bynajmniej tak smutny, jak ci się zdaje«. Tu przerwałem zdziwiony: »skąd wy możecie wiedzieć? — to chyba są żarty!«

— »Wiemy od naszego drukowanego rodzeństwa, z którem pozostajemy w porozumieniu pozazmysłowem dzięki familijnemu powinowactwu«.

»Ach, tak! rozumiem — więc — mówicie — w składach księgarskich« — »nie jest naprawdę tak źle. Leży się wprawdzie w mroku i brak tam świeżego powietrza, lecz już po krótkim czasie — może wskutek działania trujących oparów drukowanej stęchlizny — zapada się w sen magnetyczny — naturalnie o ile się ma odpowiednią predyspozycyę psychiczno-nerwową. Tak było z twymi dawnymi

wierszami, ten los — w dziejach książek dość rzadki — już się nam dzisiaj uśmiecha; bo taki sen magnetyczny to nasze życie, nasz tryumf i rozkosz tajemna. Zresztą, zastanowiwszy się głębiej, powiedzmy, że słowo sen jest w tym wypadku wyrażeniem ułomnem a nawet fałszywem. Albowiem wszystko to, co nas czeka, to będzie jawą najżywszą; spać będą właściwie tylko nasze ciała papierowe. Uśmiechasz się z niedowierzaniem? — Posłuchaj i ciesz się z nami. Gdy księżyc srebrny wyświetli błonie niebieskie i gwar uliczny zamilknie, zacznie się czar niepojęty. W przestrzeni mrocznej zadrży, zakołysze się dźwięk ledwie słyszalny, zawtóruje mu drugi — trzeci — niewysłowna pobudka tęsknoty, wyłoni się naraz w ciszy przedziwnych harmonii muzyką; z martwoty ciał papierowych odpowiedzą jej dźwięki, któreś w nas zaklął przemożnie — ockną się serca twych pieśni. Z więzów litery i papieru wywiną się, wyswobodzą ciała świetliste, przez mur więzienny przewioną, w powietrzu srebrnem niby ptaków girlanda zahyboczą i w dal pofruną swobodne za oną muzyką przedziwną.

Na leśną odległą polanę, w przeczarowane

księżycem drzew świętych uroczysko zlatują się duchy bratnie, tęczowe cudotwory marzeń z życia pracowni wyklęte, różanowonne dzieci straconych pocałunków, promienni kochankowie piękna bez nazwy i bez celu. Chór twoich pieśni wyciąga ku nim ręce świetlane — tańczą. W zachwycie boskiej wolności, w tryumfie piękna wiecznego wije się pląs księżycowy a każde ciał falowanie jest równocześnie muzyką. Żałość niewysłowiona i twórcza duma istnienia grają bolesną rozkoszą w harmonii ruchów i tonów. Z rozbrzaskiem dnia wschodzącego rozprasza się lotna drużyna, w zacisze sklepień piwnicznych wracają pieśni jasne — z dumną niezłomną nadzieją, że nowa noc księżycowa na nowe powoła je gody. Tak było dotąd; lecz od niedawna coś, jakby psuć się zaczęło w zaczarowanych dziedzinach pod srebrnym berłem nocy. Zmalało koło taneczne. Na jasnych promykach księżyca coraz mniej duchów wolnych zlatuje w lesiste ustronia, a pozostałym coraz to trudniej wynaleść miejsca zaciszne dla onych godów swobody. Nieznana dotąd burza przewala drzewa potężne, a krew czerwona szeroko na wrzosach rozlana przyzywa z czarnych otchłani straszne bogi-

nie zemsty, wężowowłose Erinye. W miejscach dawniej bezpiecznych jawią się nagle mary okropne, ziejące ogniem hydry i mór i nędza i głód. Straszliwy korowód Bellony przeciąga przez lasy i sioła. Raz kiedy w pobliżu owych zjawisk zmącił się pląs księżycowy a chór nieliczny gotował się do odlotu — było to na skraju lasu w blizkości rzeki rozlewnej — wyłoniła się nagle z mroków leśnych czarodziejska pani tych dzielnic, w sukni tkanej z mgieł księżycowych, w koronie tęczami grających dyamentów — królowa Elfów — wiesz przecie — tasama, która w dziewiczym lesie romantyki jawiła się rycerzom najpiękniejszych ballad. Onać to — boska znawczyni najgłębszej tajni człowieczego serca stanęła na skraju lasu w kuszącym majestacie wieczystego piękna i lotne słowa pociechy rzuciła spłoszonej drużynie: »powiewne dzieci fantazyi! nie trwóżcie się i nie skarżcie na los opuszczenia; zgiełk bitewny umilknie, krew wsiąknie w ziemię a nowy zastęp bratnich wam duchów zaludni leśne ustronia. Bo nieukojne jest serce człowieka a w tętnie krwi jego rodzącej owoc czynu i kwiat obłędny marzenia jedna się chwała głosi, jeden się tryumf pełni — zwycięskie życie«.

Tak rzekła Elfów królowa, a chór powiewny przewinął się koło niej pląsem dziękczynnym i w dal uleciał radosny. — I po wiek wieków snuć się będzie w zachwycie ten taniec księżycowy«.

Uśmiechnąłem się smutnie.

— »Niech już tak będzie, jak chcecie«.

Wiedziałem, że wiersze podobne są w tem do dorosłych dzieci, że tak samo jak one lecieć chcą w świat szeroki, daleko od rodziców — byle tylko odczuwać swą samodzielność i siłę w tym świecie. — Korzystając więc ze sposobności postanowiłem wydać ten zbiór poezyi. Decyzya zapadła — lecz długo jeszcze potem myślałem o słowach, które królowa Elfów wyrzekła do mych pieśni w ową noc księżycową. Czem jest pieśń wobec życia? jaki jest stosunek autora do potrzeb swego społeczeństwa i do chwili dziejowej, którą każdy po swojemu przeżywa? — Myśli te zawadziły o jedno stare i aż banalne w swem uogólnieniu przysłowie: *inter arma silent musae.* Prawdziwość tej maksymy i liczne względem niej wyjątki mają swoje uzasadnienie w psychologii jednostkowej i zbiorowej. Tym zawiłym tematem, tak trudnym do zgłębienia, zajmować się tu nie będę.

Zresztą bez filozoficznych dociekań pojmie to każde szczero-ludzkie odczucie, że wobec krwi jeszcze z rany płynącej łatwiej jest płakać lub zemstę przysięgać niż — śpiewać — chociażby najcudniejsze maki śpiewały dookoła swoją pieśń szkarłatną. Są pewne sytuacye, w których pośpiech w doraźnem przezwyciężaniu rzeczywistości przez poezyę robi wrażenie pewnej niedelikatności wobec chwili realnej. Więc niejedna — pieśń czasu — może być z tego powodu — właśnie — nie na czasie.

Że także nie na czasie będzie zapewne wydanie tych wierszy z epoki przedwojennej, powiedziałem już poprzednio. Tu dodam, że — gdyby się liczyć z tym względem, to może jeszcze długich lat dziesiątki musiałyby czekać te poezye na swoją chwilę.

Bo oto w huku armat i w krwawych zorzach pożarnych rodzą się czasy nowe a z nimi i z nich urodzą się nowe pieśni. Czy te, które wyśpiewano przed nimi, muszą na zawsze zgłuchnąć dlatego, że są dawniejsze? Bynajmniej. I w tych i w tamtych przetrwa to tylko, co jest w nich wieczne — piękność niezmiennie młoda. Odczucie różnych form piękna ma dziwne w dziejach koleje — ginie

i znowu powraca. Ułomnym bowiem jest człowiek, choć boską jest jego dusza; śladami łez i ran własnych podąża do źródeł piękna nieśmiertelnego. Więc też każde pokolenie ma swoje pieśni i sztukę swojej tęsknoty; każda epoka obala jakieś bożyszcza i jakimś dawnym cześć zapomnianą przywraca — a czyni to spontanicznie, często niesprawiedliwie i bezwzględnie, kierując się w tych wyrokach instynktem swych potrzeb żywotnych. Albowiem — nieukojne jest serce człowieka a w tętnie krwi jego rodzącej owoc czynu i kwiat obłędny marzenia jedna się chwała głosi, jeden się tryumf pełni — zwycięskie życie.

Kraków, 10 września 1915.

B A L L A D Y.

TURNIEJ ŚPIEWAKÓW.

I.

Pędził za sławą tyle lat
w swojej i obcej ziemicy,
obieżył z lutnią cały świat
Pędzisław z Krasostolicy.

Siebie jednego panem znał,
lutnię jedyną królewnę,
Amora zdradne więzy rwał
wsłuchany w struny jej śpiewne.

Wielbił go Hiszpan, Niemiec, Giaur
i Skaldów topniały lody,
gdy szedł w zielony zdobny laur
w zwycięskie pieśni zawody.

Daleko zaszedł z lutnią swą,
bo aż na wzgórze Wenery;
— klasyczne imię zdobi ją,
a romantyczne maniery.

Ciało jej zawsze pełne żądz,
miłości wieczysty gajzer,
w jej to objęciach los swój klnąc,
miotał się niegdyś Tannhäuser.

Od wieków cześć jej boska trwa,
lecz powiem tak między nami,
że znam tę blagę, którą ta
oszustka ród ludzki mami.

Pędzisław czuł, że w sprawie tej
nie wszystko było w porządku —
zobaczył Wenus, uległ jej
w miłości cichym zakątku.

Drażniącym śmiechem brzmiał jej głos,
gdy ujrzał ją po raz pierwszy;
złotopłomienny lśnił się włos,
jak połysk najdroższych wierszy.

Czarów jej boskich słodka moc
ścierała śnieć dawnych smutków,
Pędzisław u niej całą noc
na sobie doznał jej skutków.

Został noc jedną, głosi wieść,
w drugą zapomniał wyjechać,
z tej samej racyi przez lat sześć
wyjazdu musiał poniechać.

I przez lat sześć nie zabrzmiał śpiew,
ni złota lutnia nie grała,
a za to grała wrząca krew
wiecznie płomienny hymn ciała.

Krynica natchnień szybko schła,
jak kropla wrząca w kociołku
i strzegła potęg sfora zła
złocistej lutni na kołku.

Aż raz Pędzisław — zdarzył los —
gdy błądził samotny w knieji,
usłyszał z bliska dźwięczny głos,
śpiew brzmiał, jak hymn nadzieji.

Samotny śpiewak ścieżką szedł,
jeden z wędrownych tych ptaków —
— »gdzie idziesz?« — »w dal, za góry, het!
— idę na turniej śpiewaków«.

Ręką przed siebie wskazał tam,
Poszedł i znikł w oddali. —
Pędzisław został w lesie sam,
coś mu się w sercu żali.

Coś woła go do pól, do hal,
które śpiewając mijał,
do chat, do gospód woła żal,
do wina, które spijał.

— Do miast, turniejów, wielkich sal,
do władztwa nad sercami —
coś woła go, coś rwie się w dal,
coś z oczu błyska skrami.

I szybko wzwyż, pod góry szczyt
w podziemny gmach się wdziera,
a przed nim wnet, jak młody świt
stanęła cudna Wenera.

Przewonny czar owiał go znów
tchnący z jej ciała nagiego —
— »O Pędzisławie! szybko mów,
co ci się stało tam złego?

Twarz ci się mieni, marszczysz brew,
— lęk przeczuć męczy mi ducha —
czyli cię uwiódł Elfów śpiew,
czy ukąsiła zła mucha?«

»Ani mię uwiódł Elfów głos,
ni mucha zła na mnie siadła,
tylko mię precz stąd woła los,
przeszłości nęcą widziadła.

Nęci mnie laurów świeży liść,
gdzie tłum rycernych szyszaków —
— oddaj mi lutnię, muszę iść
jutro na turniej śpiewaków«. —

»Dość, Pędzisławie! idź gdzie chcesz,
— tłumaczysz się bałamutnie —
nie wstrzymam ja cię, a więc śpiesz,
ale pożegnaj swą lutnię.

Zostanie ona u mnie już,
to niecne buntu narzędzie,
aż ją pokryje wieków kurz,
siedmiokroć pająk oprzędzie.

Tu na tym progu śpiew twój zmarł
i w piersi twej się nie zbudzi,
znaj moich potęg władny czar,
nie oprze mu się nikt z ludzi.

Teraz i łaskę moją znaj —
oto miast wstążki okrawka
masz tu mój grzebień, na nim graj,
w sam raz dla ciebie zabawka«.

Wyjęła grzebień, mówiąc tak,
złocisty włos zaszeleścił,
Pędzisław wziął szyderstwa znak,
pod płaszcz na piersi umieścił.

Bez słowa wziął, za progiem znikł,
wiedziony gwiazdą swych losów —
jeszcze go długo ścigał syk
wężowych splotów jej włosów.

II.

W zamkowej sali zgiełk i szum
chwieją się kity szyszaków,
rycerzy zewsząd zasiadł tłum
podziwiać turniej śpiewaków.

Różanowdzięczny powab dam
stalową męskość okraszał,
przed dworem księcia herold tam
śpiewaków imię ogłaszał.

Śpiewaków sześciu stało w rząd
z swojej i obcej ziemicy —
bez lutni jeden — co zacz? skąd?
– Pędzisław z Krasostolicy.

Pędzisław stał, lecz jakby w śnie,
jak w zaklęć kolisku zdradnem
i patrzył w tłum, lecz oczy w mgle,
w chaosie toną bezładnym.

Nie widział nic, nie słyszał nic,
choć sala brzmiała do szczytu,
choć śpiew po śpiewie wiele lic
zrumienił krasą zachwytu.

Aż naraz drgnął, wskazują nań,
do śpiewu herold go wzywa —
kołuje świat, wir blasków, drgań,
pierś więzi niemoc straszliwa.

Gdzie lutnia? gdzie?... i jakby śniąc,
z grzebieniem rękę wyciąga
i śmiechem tłum wybucha drwiąc,
palcem mu w oczy urąga.

Wskazują nań, wołają nań:
— wprost z babskiej wyszedł alkowy! —
a jemu niemoc więzi krtań
i łuna bije do głowy.

I widzi jasno żywot swój,
tak jasno widzi, już nie śni —
i jakby w wielki iść miał bój,
westchnął do boga swej pieśni:

— Usłysz mię Panie! ducha głąb
aż do dna Tobie otworzę,
harmonii łaską ku mnie zstąp,
błagam cię w serca pokorze.

— Który w śpiewaków sercach masz
tron swój i harfy anielskie —
znasz moją niemoc, grzech mój znasz,
zdejm ze mnie więzy dyabelskie!

— Lutni swej nie mam, lecz Twa moc,
co zechce w ręku swym trzyma —
jak z Dawidowych ongi proc
rzuciła kamień w olbrzyma.

— Z grzebienia tego dobądź ton
i z piersi mojej zamarłej
i spraw, by z wszystkich nieba stron
Serafy Twoje mnie wsparły! —

I cały w jeden spłonął żar,
uderzył w grzebień złocisty —
drgnęli słuchacze — dziw i czar!
dźwięk zabrzmiał silny i czysty.

Słyszeli wszyscy — mocny bóg! —
grzebień, jak lutnia rozbrzmiewa,
a śpiewak czar szatański zmógł,
pieśń mocy płomienną śpiewa.

Słuchają wszyscy — płynie śpiew,
harmonie dźwięków mu wtórzą,
kołuje dołem, drży jak wiew,
pod stropem niesie się burzą.

Rośnie w potęgę, brzmi jak dzwon,
zniszczenia grozą przeraża,
wzbił się nad życie i nad zgon,
prawem jest sobie, co stwarza.

I naraz przebrzmiał jakby w toń
śmiertelnej ciszy stłumiony. —
Lecz cóż to? śpiewak schylił skroń,
bladość na twarzy zmienionej.

»Zwycięstwo! chwała!« — krzyczą doń —
lecz już tym głosom daleki,
z grzebieniem martwą sciskał dłoń
na piersi niemej na wieki.

Między śpiewaków zmarłą brać,
w progi niebieskiej świetlicy,
tam na grzebieniu poszedł grać
Pędzisław z Krasostolicy.

T Y T A N.

Poczuł Arnold, że życie ucieka
i przeraził się drżeniem głębokiem,
bo mu dola stanęła człowieka
przed struchlałem a widzącem okiem.

Coraz bliższa samotność złowroga;
coraz dalsza — gdyś swą młodość sterał —
od człowieka do człowieka droga,
choćby piersią o pierś ci się wspierał.

Noc już idzie — — tam w zachodu złocie
nikną, giną życia krajobrazy — —
Zapamiętał się w dzikiej tęsknocie
rycerz z mieczem i sercem bez skazy.

...Był czarodziej Ariel — jego imię
tylko szeptem mówiono najcichszym;
gdy chciał, góry przenosił olbrzymie,
a nie gardził człowiekiem najlichszym.

Przed nim Arnold stanął bez obawy,
w twarz mu spojrzał i nie zmrużył powiek.
— »Ktoś ty? z jakiej powracasz wyprawy?«
— »Z walki życia powracam — ja — człowiek.

Człowiek, który kochał, który władał
własnym losem w młodości zachwycie,
człowiek, który swą młodość postradał
— słyszysz — człowiek, który kocha życie.

Człowiek, który uwierzyć się wzbrania,
by umarło, co raz było żywe,
człowiek, który za złudę kochania
gotów śluby uczynić straszliwe«.

— »Jeśli złudę przejrzałeś do końca,
to być winna jak śnieg topniejąca
pod promiennem okiem prawdy-słońca,
— wywyższonyś wśród ludzi tysiąca«.

— »Wywyższonym boleścią bez granic,
— wywyższonym tęsknotą szaloną,
nieśmiertelność przyszłości mam za nic,
— starcze, oddaj mi przeszłość straconą!

— Każda chwila do serca przywarła,
krew zeń pije i z krwi woła: jestem —
zanim w nicość odpłynie umarła
z rozpaczliwym w pamięci protestem.

Nim ją przeszłość w nicestwo zbezkształci,
w każdej chwili ja żywy się spalam,
straszne prawo przemijań mię gwałci,
sercem w wieczność wołam: »nie pozwalam!«

— »Gwałt przemijań ducha nie dosięga —
błędne widma wołasz po próżnicy«.
— »Przeszłość z sercem na wieki się sprzęga,
ku nieznanej podąża granicy«.

— »Ku otchłani podąża bezdennej
rzeka zjawisk, z bezkresów wybucha —
wyłów serce z toni bezimiennej,
wyłów, postań na granitach ducha!«

— »W wieniec śmierci godziny się wiją,
tęsknot serca duchem nie poskromię,
upiorzyce chwil umarłych żyją,
przeszłość swoją chcę ujrzeć widomie«.

— »Nikt przeszłości nie wołał bezkarnie —
zali walce upiorów wydołasz?
zali serce zwyciężysz ofiarnie?
przeszłość wzywasz i sąd sobie wołasz.

— Oto wstanie ci młodość zjawiona,
pieśń upiorów rozebrzmi straszliwa.
Jeśli skargą usidli cię Ona,
biada! w przyszłość podąża moc żywa.

— Z nocy piekieł dobędę rumaka,
na szlak błędnych obrócę rycerzy,
błędny ognik zalśni u szyszaka,
koń pod tobą zarży i pobieży.

— Ile w otchłań zapada stuleci,
ile wspomnień rozbłyśnie w noc głuchą,
tyle gwiazd mu z pod kopyt wyleci,
wichrem tęsknot pogna, zawieruchą«. — —

— »Los mię woła — w manowiec piekielny,
w bój upiorów pognam i w szaleństwo;
czego żaden nie zdołał śmiertelny,
młodość moją ja pojmać chcę w jeństwo. —

— Śmierć wyzywam — do okropnej jazdy
— prowadź mistrzu, prowadź! — jam gotowy« — —
...Ziemia cała słuchała i gwiazdy
w osłupieniu słuchały tej mowy.

II.

— »Tyżeśto straszne, bezkresne,
morze śmierci, morze bezimienne,
nienawistne myśli, przebolesne,
przeraźliwe, huczące, bezdenne?! —

— Oto twoja paszczęka otwarta,
oto gardziel twych wirów niesyta —
— dudni w czeluść rzeka nieprzeparta
— oto brzeg twój — oto lęk mię chwyta«.

Dudni w czeluść rzeka istnień głucha,
— zatracenia przemożne odmęty,
coś w nich jęczy, coś skargą wybucha — —
— widm, upiorów korowód zaklęty.

W zwierciadlanem, w zwierciadlanem szkliwie,
pośród kwietnych oplotów i wianków
w dal rozwarte, smutne przeraźliwie
płoną oczy umarłych kochanków. — —

Dudni w czeluść rzeka istnień zmienna
— zatracenia przemożne odmęty —
płynie w bezkres upiorna Gehenna,
przeznaczenia zwijają się skręty.

Raz w raz kształt się z topielisk wyłoni —
jakieś widma na fali chyboczą,
jakieś ręce imają się broni,
jakieś serca bijące krwią broczą.

Jakieś złote zczerniałe korony,
jeszcze dumne przepychem swej złudy,
jakieś twarze, jakiś wir skłębiony,
jakieś wojska, chorągwie i ludy.

Tłum się zbliża, przewala, drży, kłębi,
walczy z prądem, w tył rwie się z topielisk,
piętrzy w górę — — aż runie ku głębi
jak złamany u podstaw obelisk.

Wszystko w otchłań bezdenną zapada —
patrzy Arnold dzikiemi oczyma —
dudni w czeluść potworna kaskada,
w niesytego paszczękę olbrzyma.

Dudni otchłań wichurą zatraty —
pieśń rozpaczna bezimiennej rzeki —
dech muzyki straszliwej gna światy
w zatracenie — lecą, huczą wieki. —

Patrzy Arnold źrenicą struchlałą,
patrzy przed się i wzrok mu się mroczy —
jakieś tchnienie po fali przewiało,
jakiś obłok przesłonił mu oczy.

Obłok zorzą różową grający,
pyłem kwiatów przewonny znajomych,
mgłą przeszłości ku niemu wiejący
— jakich losów to zwiastun kryjomych? — —

Dreszcz go przejął mocny, tajemniczy,
jak dreszcz pierwszych miłości narodzin
i kształt widzi w obłoku dziewiczy
i głos słyszy — głos zmarłych już godzin:

— »Jam jest tobą i ty jesteś we mnie —
przemocnymi związani my śluby —
sen młodości szepczę ci tajemnie
sen miłości — — ratuj mię od zguby!

— Jam jest tobą i ty jesteś we mnie —
nie zwyciężysz jak tylko mym trudem,
orlim lotem nie wzlecisz nadziemnie,
nie pokochasz, jak tylko mym cudem.

— Sen młodości szepczę ci tajemnie,
sen miłości — — ratuj mię od zguby!
— jam jest tobą i ty jesteś we mnie —
— życia straszne, przemocne to śluby.

— Otoś marę swych tęsknot przywołał
— oto śmierci zgwałciłeś rubieże. —
Czego żaden z śmiertelnych nie zdołał
— śmierć zwyciężaj! życia bohaterze!!«

Zadrżał Arnold bólem oszalały — —
— Biedz! — zapomnieć! — za kraj widnokręga! — —
Lecz jak księżyc pociąga wód zwały,
w toń go ciągnie tęsknoty potęga.

— »Pójdź! do piersi mię przytul miłośnie!
wyrwij z toni zawistnej żywotom!
słysz, jak wołam, jak tęsknię żałośnie
ku twych ramion miłosnych oplotom.

— W twym oddechu oddechem zaginę,
żywym ogniem w krew ci się przeleję,
w krwi roztętnię młodości godzinę,
w krwi rozśpiewam młodości nadzieję«. — —

— »Cześć ci!« — spłonął — już nic go nie wstrzyma —
toń roztrąca ramieniem zuchwałem —
za nim groza z otchłani się wzdyma —
przed nim młodość jawiąca się ciałem.

— Jedna chwila — — już drży mu w ramionach —
— ustąp śmierci! wydarty twój połów! — —
W pian rozbryzgu, w kurzawy obsłonach
wrósł posągiem w odmęcie żywiołów.

— Chwila jeszcze — — skłębiły się, zbiegły
i zmartwiały w zdziwieniu odmęty
i fal grzywy u stóp mu przyległy,
jakby więził je dziw niepojęty.

—Chwila—wieczność— — —wir grzmotów szalony
poprzez skalne przetoczył się progi — —
Zginął Arnold w toni niezmierzonej —
kędy ludzie mijają i bogi.

E L F Y.

Za sobą zostawiał zwycięstwo i sławę,
gdy szranków rycerskich opuszczał kurzawę
i konie i jeźdźce zwalone ;
na czarnym swym koniu
cwałował po błoniu
w zagaje kwiatami ścielone.

Nie zwolnił koniowi aż w leśnej pomroczy,
gdzie księżyc mu rzucał ślad srebrny przed oczy
w posępność marzenia zastygłe —
i wiódł go bez zdrady
przez leśne arkady,
gdzie sosny szumiały mu śmigłe.

Ujrzały go Elfy, co lasu tam strzegły
i drogę mu pląsem wiatrzanym zabiegły

na jasnej polanie miesięcznej —
»Żnój krwawy cię plami
pozostań tu z nami;
spoczynek zgotujem ci wdzięczny.

— Kochałeś już tyle, walczyłeś już tyle,
nic więcej dla sławy nie wydrzesz swej sile,
nic więcej dla serca pod zbroją;
ból dziki cię niesie
po ciemnym tym lesie —
tu nasze cię pieśni ukoją«.

Odpowie im rycerz żelazny bez trwogi:
— »Daremną pokusą u kresu mej drogi
daremną pociechę głosicie;
w otchłani mej nocy
nie żądam pomocy
lecz walki bezkresnej, jak życie«.

— »Przed naszym wyrokiem nie znajdziesz obrony —
gdyś rozkosz odrzucił, rycerzu szalony,
płomienna cię burza pogrzebie;
przed straszną jej mocą

już drzewa dygocą
i wichrzą się chmury na niebie.

— Ujrzała cię z dali posępna siostrzyca,
pożogą błyskawic spłonęły jej lica —
już leci — już tętni straszliwa.
Jej słowo — krzyk gromu —
do swego cię domu
na ucztę śmiertelną przyzywa«.

— Odpowie im rycerz żelazny bez skazy:
— »Żegnajcie mi życia miesięczne oazy!
żegnajcie sny moje młodzieńcze!
Umierać jam gotów —
do nowych już lotów
błyskami swe czoło uwieńczę.

Potężny żywiołów płomiennych przymierzem —
na boje, na harce z ciemności rycerzem
powionę jak burza co błyska —
moc ducha roznniecę —
na gwiazdy polecę —
słoneczne zdobywać grodziska«.

GWIAZDA KRÓLA.

I.

Miał król potężny dyament święty —
kryształ przedziwnej mocy,
co jako słońce płonął w dzień,
jak księżyc lśnił po nocy.

Człowieka oczy blasków takich
przenigdy nie widziały,
jak ten przeczysty klejnot=cud
w królewskim skarbie chwały.

Głosiła wiara, że przed wieki
na nędzę ziemi czarną
z dziedziny jasnych duchów spadł
litości łzą ofiarną.

Bo — zda się — ile tęcz w nim grało
w przeźrocza jaśni żywej,
tyle strumieni świętych łask
spłynęło w kraj szczęśliwy.

Wysoko w górę król go wznosił
z złocistej skrzyni wnętrza,
z zamkowej wieży patrząc w dal,
gdzie morski wał się spiętrza.

I błogosławił nim okręty —
latawce mórz wędrowne,
w przystani modrej witał je
powrotne i ładowne.

I błogosławił wojsk zastępy —
jak okiem sięgnąć zdołał —
gdy na zwycięstwa krwawy szlak
bitewny bóg je wołał.

— Lecz inna w zamku gwiazda jeszcze
nad wszelki podziw słowa
świeciła blaskiem — z królem tam
mieszkała cud=królowa.

Tajemna zawiść sen jej płoszy,
nie może ścierpieć dłużej
że dumnym blaskiem klejnot ów
piękności jej nie służy.

— Niech pozna król, że dyament święty —
to z ziemskiej bryły kamień,
co jej należną kradnie cześć
urocznych skrą omamień.

— Do króla tedy rzecze Piękna:
»Jeślim ci jeszcze miła,
daj mi twój klejnot — proszę cię,
jak nigdym nie prosiła«.

— »Zmilknij! nieszczęsna! — skarb mój drogi
co świętą sprawę wspiera —
to chwały blask, to czystość serc,
to duma bohatera«.

— »Sąsiednich książąt, tłum rycerzy
Twój zamek dzisiaj gości
w biesiadnem kole stanąć chcę,
jak boskiej cud piękności.

Niech mię spowiją w jaśń miesięczną
me szaty srebrno-złote!
pozwól! — w złocistych włosów sieć
królewski klejnot wplotę«.

— »Klejnot mój święty mścić się będzie
zniewolon Twojej krasie;
serce mi wieści bogów gniew
i żal Twój po niewczasie.

— »Twój święty klejnot wdzięk niewieści
z przyziemnych skaz oczyści —
potęga Twoja, czar mych kras
marzenie sławy ziści.

— Tyś sam — jak dyament — jasny, czysty —
— czyż przeto moc twą kalam? — —
Ustami jego szuka ust — —
aż skinął król: »Pozwalam«.

II.

Widmowy księżyc cicho wchodził
w posępnej głąb komnaty,
królowej blado spojrzał w twarz,
rozświetlił strój bogaty.

Ku złotej skrzyni idzie Piękna —
zazgrzytał klucz złowrogo —
zimny ją nagle olśnił blask —
przysłania lica z trwogą.

Bo jak straszliwej groźby oko
w pomroce dyament świeci,
promieni ostry ciska grot,
złowróżbne iskry nieci.

W rozterce niemej drży królowa —
klucz z trwożnej wypadł ręki —
stłumiony naraz słyszy gwar,
dalekiej uczty dźwięki.

— Tam król, książęta, damy dworne,
najbielszych kras lilije —
tyle tam dla niej spłonie lic
i tyle serc zabije.

Tylko ten klejnot jej urąga
szyderczy, groźny, żywy —
Zmaga się — schyla — chwyta skarb,
podnosi w dłoni chciwej.

Królewski dyadem zdjęła z czoła,
rozluźnia ogniw skręty,
w misternych nitek więzi sieć
królewski dyament święty.

W rozbłysku jego zgasł w dyademie
klejnotów błysk szlachetny,
jako przygasa gwiezdny pył
w księżyca jaśni świetnej.

Zagrały tęcze w gwieździe chwały,
blask rośnie, oczy rani. — —
Płomieniem żywym wieńczy skroń
— świetlanych potęg Pani.

— A naraz blednie, w tył się cofa,
jakąś odgania zmorę.
— Fontanny ognia, zamęt, wir
— świat cały w oczach gore.

Straszliwy majak szat się ima,
płomienna rwie ją fala,
królewskiej gwiazdy mściwy żar
do rdzenia mózg przepala.

— Słania się — zrywa — szał przerażeń
z zamkowej gna ją wieży;
po marmurowych stopniach w dół,
na oślep w ogród bieży.

Demony ognia trop w trop za nią —
płomieni syk ją goni
na księżycowy błędny szlak
ku wzdętej morza toni.

Ujrzał ją z góry tłum biesiadny —
zdumiał się — — cud-zjawisko! —
zda się — komety świetlny smug
nad ziemią leci nizko.

Poznał ją naraz król struchlały —
poznał ją dwór — o, biada! —
Wołają, lecą — próżny trud —
w topieli fal przepada.

— W godzinę ową król utracił
swej chwały gwiazdy obie.
Przeciwny wkrótce zmógł go los —
w kamiennym spoczął grobie.

ZAKLĘTE MIASTO.

W zaczarowanem mieście chodzę —
spotykam dziwnych ludzi —
kręgiem zaklętych idą dróg
zaklęty sen ich trudzi.

Ej, ty mój panie, z dumną głową,
co w drodze wciąż przystajesz,
tajemny w myślach wiodąc spór,
— nie jesteś, czem się zdajesz.

Cześć ci! przesadnie skromna damo,
co patrzysz w bok ukradkiem —
odwieczny jakiś sekret drży
na twojem licu gładkiem.

A tobie, księże coś nie swojo
W przydługiej twej odzieży —
omal że rozśmiał ci się w twarz
kamienny potwór z wieży.

Nie tem jesteście, czem jesteście —
wy z dawnych lat zaklęci!
wpleciony w koło marnych trosk
wasz żywot tu się kręci.

Rycerze, mędrce, kasztelanki,
królewne, królewicze!
minionych wieków senny blask
prześwietla wam oblicze.

W kręgu codziennych spraw idziecie,
lecz chód wasz jakiś sztywny;
ach! i ja błądzę pośród was,
samemu sobie dziwny.

W uśmiechu błędnym tli się, łamie
wspomnienia skarga mglista —
stracone piękno, miłość, szał,
i wiedza Trismegista.

Próżno chce dusza znaleść wreszcie
magicznych słów odklęcie,
co tchnieniem życia zetrze z czół
twardego snu pieczęcie.

Zapada w ciszę dźwięk zegarów
tensam, tensam od wieka —
ołowiem toczy senny nurt
umarłych godzin rzeka.

A tam za rzeką, w leśnej głuszy
nimf jasnych korowody
i faunów pląsy święcą tam
wieczyste życia gody.

POWROTNA NUTA.

Raz, gdy maski tańczyły widmowo
a już w obłęd gnały rwące dźwięki,
dziwna postać dotknęła mej ręki.
Przyszła ku mnie z pochyloną głową
i zastygła w bezszelestnym ruchu —
potem rzekła cicho, bardzo cicho —
a — wraz, jakby w wichury podmuchu
świec złociste przygasły migoty,
choć szepnęła cicho, bardzo cicho:
— Tylko w śmierci ziszczą się żywoty.

Przez taneczne przedarłem się kręgi
a krok błędny wiódł mię do komnaty,

kędy strojne w zapylone szaty
uroczyste nudziły się księgi.
Otworzyłem pierwsze karty z brzegu,
w oczach czarne tańczyły mi zgłoski,
aż stężały w niezłomnym szeregu,
niby twarde łańcucha zaploty
i spętały mi serce te zgłoski:
— Tylko w śmierci ziszczą się żywoty.

Była chwila — pierwszy kur gdzieś zapiał —
przeobrażeń, dziwów niepojętych,
świt już zstąpił z swych progów zaklętych,
szafir nocy w opal dnia przetapiał.
Chłonąc z okna błękitne powietrze,
pogrążyłem się duszą widzącą
w niebo gwiezdne, blade, coraz bledsze,
gwiazd hieroglif majaczył w niem złoty,
odczytałem go duszą widzącą:
— Tylko w śmierci ziszczą się żywoty.

Więc poszedłem, gdzieby sen ukojny
zakrył myślom to natrętne godło,
lecz snu bóstwo płochliwe mię zwiodło,
tłum majaków otoczył mię rojny,

jakieś dawne, żałośne tęsknice
grały sercu kołysankę cichą —
naraz w tonów stłumionych muzyce
głos najgłębszy ostatniej tęsknoty
zabrzmiał szeptem cicho, bardzo cicho:
— Tylko w śmierci ziszczą się żywoty.

P R E L U D Y A.

Spłonęło życie —
już tylko dym —
już tylko śnicie —
już tylko rym —

już tylko zdrady
dawnych pocieszeń —
już tylko blady
uśmiech rozgrzeszeń —

i wiedza marnych
spraw, które brały
z ogni ofiarnych
rozblask swój cały —

a w sercu skryte
dawne tęsknice,
jak gwoździe wbite
aż po głowice.

I pytałem się serca, czy pieśń którą gra mi
jest pobudką, co na to z martwoty mię budzi,
bym szukał błędnym wzrokiem za gór błękitami,
czego znaleść nie mogłem w sobie ni u ludzi.

Dawna rana pamięci otwarła się we mnie,
niby w piersiach krwawiąca przeszłych bojów blizna
i pytałem się serca, — pytałem daremnie —
za jakiemi morzami jest jego ojczyzna — —

Nieogarniona
kołysko fal!
z bezkresów dali
w bezkresów dal
błękit twój boża
ręka kolebie
nieogarniona
kołysko fal!

Z nadbrzeżnych lądów,
z dalekich ziem
przypadł do ciebie
człowieczy żal —

ucisz go, ucisz
błękitnym snem,
nieogarniona
kołysko fal!

Toń twoją gładzi
pieszczota słońca
i tnie piorunem
chmur sina stal!
skarży się gwiazdom
pieśń twa bez końca
nieogarniona
kołysko fal!

Życie przeminie
jak sen — jak sen —
jak widziadlanych
miraże scen — —
Zaszumi nad niem,
popłynie w dal
nieogarniona
kołyska fal.

Po latach znów,
— jak rytm bez słów,
od dzikich pól pamięci
przylata żal,
co gna cię w dal,
wichurą myśl okręci —

i porwie w tan
— jak liści wian
jesienna zamieć niesie —
zaświatów wiew,
tęsknoty śpiew,
w obłędnych marzeń lesie:

— Powiędnie kwiat,
czar młodych lat,
czar młodych lat się prześni,
twój płacz, twój śmiech
to echo ech
jedynej mojej pieśni.

I tu i tam
ja jedna trwam,
wielbiona nazw tysiącem,
mych cudów moc
— patrz — głosi noc
srebrzystych snów miesiącem.

I tu i tam
mój lotny chram
z wichrami w dal ulata —
z powietrznych szkieł
korabie mgieł,
flotyla mego świata.

I tam i tu,
w majakach snu,
w pożądań twych obłędzie,

— kochając, śniąc,
cień własnych żądz
ścigałeś w próżnym pędzie.

— — A oto znów
— jak rytm bez słów,
od dzikich pól pamięci
przylata żal
co gna cię w dal
wichurą myśl okręci —

i porwie w tan
— jak liści wian
jesienna zamieć niesie —
zaświatów wiew,
tęsknoty śpiew:
twój sen, twój los w bezkresie.

Leżę sobie w szklannej trumnie —
tak spokojnie, cicho, dumnie.

W kolorowych szkieł przeźroczy
niech odpoczną moje oczy.

W niepojętej, boskiej głuszy
niech odpoczną moje uszy.

Niech odpocznie moje serce
po zgonionych dni roztercе. —

Przestworzami trumna płynie,
jak łódź lekko po głębinie.

Poprzez szkiełka kolorowe
widzę, czuję rzeczy nowe.

Com przecierpiał, nie wiem prawie —
ludziom, życiu błogosławię.

Posyłam ci pieśń jasną,
by twe oczy, nim zasną,
miały dobre jej światło
za strażnicę i za tło
dla twych marzeń gwiaździstych,
fantastycznych, a czystych.

Posyłam ci pieśń żywą,
by twych marzeń przędziwo
tak się snuło bogato,
jakby w dal babie lato
rozsnuwało pajęczą
nitkę czarowną tęczą.

Posyłam ci pieśń lotną,
byś nie była samotną,
by dźwięczało ci granie,
jak ust blizkich szeptanie
w dzień upalny u zdroja,
aż uczujesz, żeś moja.

Przyszłość mówi: bądź mi dzielny!
dla przeszłości nie trać słów!
W moją zorzę patrz weselny!
— — — — — — — —
...ale zorza moich snów!

Puchar życia się przelewa —
upojenie w gwiazdach lśni —
pachną kwiaty — dusza śpiewa —
— — — — — — — —
...ale zapach tamtych dni!

Przebrzmią pieśni, zwiędną róże,
nowym ogniem spłonie świat,
nowe walki — nowe burze —
— — — — — — — —
...ale burza młodych lat!

Czy znasz tę młodą chęć,
tę chęć, co nic nie żąda,
co strzałą jest i celem,
spełnieniem i weselem
i życiu mówi: pędź!
i wstecz się nie ogląda?

Czy znasz tych uczuć moc,
wzlot tęsknot bezustanny,
nad znojną ziemi glebą
lecących w marzeń niebo,
jakby w miesięczną noc
bezcennych kras fontanny?

Czy znasz ten stromy szczyt,
gdzie dąży istność wszelka,
gdzie ziemi zgiełk i pycha
ułomnych praw przycicha,
gdzie ducha jasny byt
i wola stworzycielka?

Wiem — pieśni moich zastęp cały
migotem gwiazd świecący zblizka
— to tylko iskry, co zleciały
z dalekich, cudnych gwiazd ogniska;

— to tylko dźwięki szumem śpiewnym
głoszące z kruchej muszli wnętrza,
że się gdzieś w dali chórem krewnym
nieskończoności fala spiętrza.

WSPOMNIENIA.

E L E G I E

Miejsca, których już nigdy nie będziem oglądać —
miejsca, które przepadną — miejsca, gdzieśmy młodzi
umieli marzyć, tęsknić, kochać i pożądać,
a które już legenda od życia odgrodzi —

miejsca drogie, stracone mają w swych zakątkach
spojrzenia, co za nami idą w drogę życia —
zda się, miłość serc naszych zaklęta w pamiątkach
ogląda się za nami i skarży z ukrycia.

— Oto ogród czarowny w omgleniu przeźroczem
wyciąga ku mnie tęskne ramiona jabłoni
i potrząsa żałośnie brzozowym warkoczem
i szuka mię księżycem na niebieskiej błoni.

I ścieżki między grzędy biegną w ową stronę,
gdziem odchodził na zawsze — tknięty losu władzą —
— a oto jeszcze słyszę te miejsca stracone,
jak w taką noc coś szepczą, jak coś o mnie radzą.

I w marzeniu obłędnem śni moja tęsknota,
że kiedyś, gdy się wszystkie dni moje do końca
przesypią, niby piasek w klepsydrze żywota —
gdy zmienię na grób ciemny złocisty dom słońca,

— kiedyś, kiedyś po latach, jak lawę podziemną
poślę krew mego serca żyłami tajnemi
tym drzewom, które niegdyś szumiały nademną,
tym trawom i tym kwiatom w dalekiej tam ziemi.

I zaszumią pieśń dawną drzew starych korony
i księżyc z głębi nieba wyjdzie, jak przed laty,
a z krwi mojej tętniącej w tej ziemi straconej
wykwitną tajemnicze zjednoczenia kwiaty.

Żadumałem się nad tą dziwnością—
nad dziwnością, że kiedyś nie będę —
niebu, morzu, ziemi głębokościom
oddam życia cudowną legendę — —

tę legendę o mnie dzisiaj żywym,
którą serce samo sobie śpiewa,
rozzłacając nią drogi i drzewa,
domy, wieże w grodzie żałośliwym.

Jakoż miejsca te rzucę, poniecham,
gdzie był ogród miłości i cmentarz,
kędy wszystko mi mówi: pamiętasz?
i wszystkiemu się we łzach odśmiecham?

Tu o życiu wschodzącem kolędy
zaglądały w okna moich marzeń,
przemieniając wątek prostych zdarzeń
w uroczystych tajemnic obrzędy.

Dzisiaj widmem już wszystko — w tej łunie,
co z przeszłości na me życie pada,
krzyżmem piękna melancholia blada
znaczy dzień mój, który w przepaść runie.

— — — — — — — — —

Idą za mną żywi z umarłymi
— wędrownicy drogi bezpowrotnej.
— Idziem społem, a każdy samotny —
— kiedyż kij nasz zakwitnie pielgrzymi?

W PERUGII

Kręgiem w przestworze powiodłem oczyma,
a niewysłowny cud był dookoła —
cud, co tę ziemię jak w zaklęciu trzyma
pod strażą dawnej piękności anioła
i tak jak dawniej w bezmiary rozpina,
czysty i święty błękit Perugina.

Patrząc na miasto złamane u stoku,
na gór kryształy, na błękit bez plamy,
twarz miałem w słońcu, a głąb serca w mroku
i chłonąc chciwie powietrzne balsamy,
niebu i ziemi mówiłem z żałobą:
— nie zostawiajcie wy mię samym z sobą.

Bowiem czułem się sam i bez wspólnictwa
z czarem tej ziemi i ową swiętością,
co z dawnych duchów została dziedzictwa
(w powietrzu światłem — a w sercach miłością)
i płynąc z nieba i od gór Asyżu,
złoci się w dali i pachnie w pobliżu.

I tą się myślą dręczyłem napróżno,
że piękność owa jest pięknością cudzą,
jakby rzuconą duchowi jałmużną
i że daremnie me oczy się trudzą
by ją pochwycić i w treść żywą wcielić,
napełnić duszy głąb i rozweselić.

— Bo oczom moim, co błędne i smutne
za dni ubiegłych leciały widziadłem,
nawet to niebo blaskami rozrzutne
było żałosnem pamięci zwierciadłem,
a wokół ziemi mówiła uroda,
że życie kwitnie, mija — że go szkoda.

Więc drzew się wówczas pytałem zielonych
i szybujących w niebiosach jaskółek,
czy w tych przestworzach pogodą złoconych

jest taki spokój i taki przytułek,
co snem błękitnym dawne rany leczy,
jednocząc duszę z harmonią wszechrzeczy.

A wtedy cisza wzięła mię na ręce
i kołysała jak dziecko w przestrzeni —
a ja ździwiony, że jeszcze się smęcę,
choć mam w przestworzach kołyskę z promieni,
witałem wdzięczny tego nieba hojność,
co smętnym duchom przywraca spokojność.

Bo już mi dziwna śpiewała muzyka,
że mrok żywotów jak mgła się rozprószy,
a światłość, co te bezmiary przenika,
była przed wieki piastunką mej duszy
— i jak do syna znów do mnie się przyzna,
choć mię posępna rodziła ojczyzna.

Więc błogosławiąc ów blask tajemniczy,
co mię wspomagał i koił w błękicie,
w dal odchodziłem, lecz już bez goryczy,
a głos mi jakiś w duszy mówił skrycie,
że już nie znajdę tam, u gór rubieży
takich błękitów i takich przymierzy.

P O Ż E G N A N I E.

Teraz, o, teraz, gdyś mi stracona,
szaleństwem pragnień bądź pozdrowiona!

Jakoż odgadniem, czem jest, co znaczy
krzyk szczęścia brzmiący jak krzyk rozpaczy.

Straszną jest każdej otchłani skrytość —
nie pytaj o nic, nie myśl! na litość!

Jak w labiryncie myśl się obłąka
w jednem pytaniu: czem jest rozłąka.

Kwiat każdy ma swe tajemne dzieje,
choć mu na imię: ból — niech pięknieje.

Przeszłości ciężar — przecież! — udźwigam.
Przed własną dolą już się nie wzdrygam.

Dni marnych szczęście i ból mam za nic —
a znam to tylko, co nie zna granic.

GRAJEK WĘDROWNY.

Sam siedziałem w zmierzchu — zadumany —
naraz w ciszy — nie słyszałem kroków —
tajemniczo, jak zjawisko z bajek,
ktoś koło mnie wyłonił się z mroków:
w ręku skrzypce trzymał gość nieznany.
«Ktoś ty?» rzekę — «wędrujący grajek —
moich tonów gędźba wielostrunna
czarodziejska, grająca od wieka,
niegdyś serce zbudziła człowieka;
dotąd w mocy trwa jej czar kryjomy —
a gdy świata przemierzam ogromy
radość idzie przedemną zwiastunna.

Znam ja ciebie — już zdawna — gdyś młody
— jeszcze serca zwątpieniem nie splamion —
spojrzał na świat i rzekł że twój będzie —
pomnisz? — skrzydła poczułeś u ramion
i moc lotu co błękit zdobędzie —
kiedyś, w blasku niewieściej urody
na cud piękna otworzywszy oczy
szukał tego boskiego promyka,
co dwie dusze miłością jednoczy —
pomnisz? — moja to grała muzyka.

Bo pieśń moja jest wszędzie gdzie miłość —
bo pieśń moja miłością jest sama,
a gdzie za mną zatrzaśnie się brama,
tam zaczyna się życia zawiłość —
jeszcze ręce powtarzają uściski,
jeszcze usta powtarzają zaklęcia,
jeszcze w oczach grają dawne błyski,
lecz gdy zmilknie ta pieśń wniebowzięcia,
którą grają kochankom me skrzypce,
wtedy wszystkie pieszczoty i słowa
są jak skarga bezsilne echowa,
są jak liście jesienne w rozsypce,
jako płatki róży, gdy opadną,

jako zorzy pobłyski, gdy zbladną;
na powiędłej miłości łodydze
żaden pączek stracony nie wskrześnie —
— To los ludzki — Od wieków was widzę,
złorzeczących swej doli boleśnie,
a serc waszych nie milknący lament
chciałby miłość o zdradę obwinić.
O, szaleni! Wy to chcecie czynić
z mej powiewnej muzyki fundament
dla budowy wygodnej żywotów,
gdy jej słuchać trzeba wśród namiotów
lekkonośnych, ruchomych, wędrownych,
a od owych harmonii cudownych
żadnych spełnień nie żądać, ni plonów.
— — Tu przerwałem wzruszony: tak właśnie,
tak kochałem harmonię twych tonów,
te krwi młodej eposy i baśnie,
te spojrzenia w tajnych losów głębie,
te całunki sycone rozkoszą,
te w błękicie zgubione gołębie,
które rydwan Wenery ponoszą —
tak kochałem uczuć meteory;
błyskawice zachwytu, co giną
rozświetliwszy marzenia przestwory —

tak kochałem tę złudę jedyną,
bez nazwiska, bez jutra — czar chwili,
w której życie krwią tajemnic wzbiera,
aż się złuda marzeniem przesili
i na progu wieczności umiera — —

Patrzył na mnie muzykant wędrowiec — —
patrzył długo z tkliwością ojcowską
i rzekł głosem cichym jak szmer fali:
« Już nie jeden przebrnąłeś manowiec,
całą duszą wsłuchany w tę boską
niepojętą muzykę, co z dali
snów otchłannych wionęła i rosła
przebolesną rozkoszą i szałem
i zwycięzka młodości skrzydłami
w niepojętość marzenia cię niosła — —
tak — już nieraz za twymi plecami
niewidzialny stanąłem i grałem —
twego życia grałem tajemnicę —
Dzisiaj twoje najskrytsze tęsknice,
które śpiewa wiatr skalnym wyłomom
a gdzieś w pustce powtarzają jodły —
wszystkie wielkim obległy mię głosem
i do ciebie mą istność przywiodły,

bym pożegnał cię marą widomą
— ja co byłem miłości twej losem.»

«Bezpowrotnej młodości minstrelu,
pożegnalną mi niesiesz nowinę!
— w mego życia słyszałem ją głuszy —
W pożegnania żałosną godzinę
jakież słowo zostawisz mej duszy?
— pieśń ostatnią zagraj, przyjacielu!»

«W pożegnania godzinę żałosną,
co cię mrokiem posępnym ocienia,
każdą dawną melodyę miłosną
przeczaruję w muzykę wspomnienia.
Czarodziejskie me skrzypce zadźwięczą
przebolesną dla serca pociechą —
rozpowije się żywot twój tęczą
snów minionych — czy słyszysz? — to echo —
co już błąka się w strunach — już śpiewa.
Ta muzyka zostanie już z tobą
i raz po raz sercem zakołysze
i raz po raz tak zabrzmi żałobą,
jak szum nocy wnikający w ciszę,
gdy tajemnie zadygocą drzewa.» —

Długo jeszcze z mrocznego zakątka
mej samotni płynęły melodye
nieukojne, zawrotne, bolesne,
wszystkie w jedną złączone psalmodyę,
jakby z jednej tajemnicy wątka
przez mój żywot wionęły bezkresne
Coraz bardziej daleki i ciemny
w jakiemś mrocznem omgleniu upiornem
niknął zwolna muzykant tajemny —
coraz gęstsze zasnuły go mroki —
i dogasał w milczeniu wieczornem
ton ostatni — pamiętny — głęboki — —

Te pociągi w biegu oszalałe,
te lecące w bezmiar krajobrazy,
te w pustkowiu zaciszne oazy,
które nęcą oczy wpół omdlałe —

ciche miasta i wrzące roiska,
kędy ludzka fala mknie bezkreśnie —
wszystko, wszystko widziane jak we śnie,
tęczą baśni w pamięci rozbłyska.

Wszystko było złudą bezpowrotną,
z jakiemś drżeniem ginącą podziemnem,
wszystko było zaklęciem tajemnem,
zawodzonem nad duszą samotną.

— «Gdzież moc twoja, rycerzu
żeś się w sobie załamał?!
czyś swej wiary zabaczył,
czyliś duszy swej skłamał?

Hej, dzieciństwo ty miałeś
przeczuciami jaśnione,
cudem baśni tajemne,
aniołami niesione.

Miałeś młodość co śniła
moc w rozkwitach wawrzynu,
kiedy ramię twe rosło,
by podźwignąć miecz czynu.

I na piersiach twych miłość
położyła swe ręce,
utopiła ci w duszę
gwiazdy — oczy dziewczęce.

I w błękitach żałości
struny szczęścia rozpięte
twojej ziemi rodzonej
grały pieśni natchnięte.

W boży huf cię wprzysięgły
tajną potęg swych zmową
dumy ojców szumiące,
jak proporzec nad głową.

Już się dzień twój przesila
na południu żywota;
o czyn duszy gorący
woła twoja tęsknota.

Czemu wichrem nie lecisz
sięgnąć ręką zuchwałą
po laur zwycięstw? — rycerzu!
coś uczynił z swą chwałą?»

— «Śnie wielkości! marzenie,
w gwiazd wiodące mię progi!
świat mój w mrokach przepada,
iż stanąłem w pół drogi.

W głębi duszy zwątpiałej
ból nad bóle mię rani.
Wróć młodości mej wiarę!
— życie oddam ci w dani.»

PIEŚNI DYONYZYJSKIE.

PIEŚŃ DYONYZOSA.

Z daleka, z praczasów,
z indyjskich gdzieś lasów,
przez wieków kurhany
szedł dumny, nieznany — —
A była to chwila, gdy łąki w mgłach dymią
i lecą obłoki z wieczornych kadzielnic
w purpurę zachodu. Wśród ludzkich szedł dzielnic
a nikt go nie widział, gdy laskę pielgrzymią
spowitą w winograd wzniósł berłem nad głową,
jak gdyby zaklinał drużynę obłoczną
i tchnieniom wiatrzanym zleciwszy swe słowa,
wszystkiemu, co żyje, pieśń głosił wyroczną.

— „Miraże piękności, obłoki, mgły wcieleń
czarownych nad ziemią! spragnionych łąk zieleń
z waszego to łona rodzajnej chce wody,
co kształt wasz rozprószy, kształt boskiej urody.

— Przeminą mozolne
zabiegi padolne
a wtedy — mgły wolne —
w przestrzenie dokolne,
sztandarem marzenia szumiące w błękitach,
wioniecie raz jeszcze w tanecznych zachwytach,
by spłonąć tam w górze przed słońca obliczem —
— bo tylko wam w niebie być pięknem... lub niczem.

Zbawiony przez zgony, kto we mnie uwierzy,
bo wpiszę go w zakon niezłomnych rycerzy,
swem tchnieniem zapalę, pochwycę w swe kręgi —
Szaleńcy, tułacze, kaleki, włóczęgi!
nad wrzawą piekielną
— drużyną śmiertelną
i w śmierci bezczelną,
zwycięską, weselną
staniecie raz jeszcze przed boskim tyr=zusem,
niepomni, że kosę śmierć ostrzy swym brusem,
raz jeszcze staniecie gromadą wybrańczą
w tym kręgu splecionym z żywotów co tańczą.

Przymierze mej chwały nikogo nie zwiodło —
a oto raz jeszcze zwycięży me godło —

niewoli, ciemnoty rozpęknie się szaniec
i wszystko, co żyje, mieć będzie swój taniec
weselny po latach,
swój taniec na kwiatach,
swój odwet po stratach,
swój tryumf w zaświatach —
swój taniec tem władny, tem piękny i silny,
że śmierci niepomny, ostatni, mogilny...
— Tułacze, nędzarze, kaleki pokraczne!
zwycięstwo wam głoszę — hej, szczęście rozpaczne!

Pójdziemy wielbić boskie słońce —
zapomnimy, —
że nie jesteśmy jako ptaki —
że nie jesteśmy jako drzewa —
że nas pognębił ból wszelaki —
zapomnimy —
wiatr nam zaśpiewa.

Staniemy cisi w harmonii milczenia
jakbyśmy stali w pierwszy dzień stworzenia.
Konary drzew się pokłonią —
powietrze obejmie nas wonią.

Pójdziemy wielbić boskie słońce
i znaki wielkie jego chwały —
zagrają światła hejnały
melodyę życia olbrzymią —
mgieł kadzielnice zadymią — —

W głąb serc zapadnie nam słowo
co z nędzy win rozgrzesza —
przygarnie nas na nowo
wszechstworzeń rzesza.

Pójdziemy wielbić boskie słońce
zapomnimy,
że nie jesteśmy jako ptaki —
że nas pognębił ból wszelaki —
że się nam szczęścia widziadło
na oczy kładło —
zapomnimy.

Niewysłowne, niepojęte
życie we mnie drży zaklęte —
do bram świata sercem puka,
już go w piersiach nie pomieszczę —
ono tętni, dąży, szuka,
chce w tysiączny kształt zogromnieć,
jawą ze snu oprzytomnieć,
ale wszędzie mną być jeszcze.

Lecą, tętnią, huczą lata —
pasmo złudzeń mię oplata
to posępne, to płomienne.
Ludzie, rzeczy, blask co witam

pieśnią szczęścia, dzieje zmienne,
wszystko — tajnych wiązań znaki
oczom jawne — wieszcze ptaki,
z których lotów los mój czytam.

Co poza mną, co przedemną,
noc osłania mgłą tajemną;
tylko w niebie grają dzwony
wieść sercami gwiazd śpiewaną,
żem wieczności poślubiony —
a ten blask, co z ócz mi świeci,
a ta pieśń, co w bezmiar leci
— to wieczności mojej wiano.

E V O E!

Do życia cudnych miraży
modlę się, modlę szalony —
to szczęście łuną się żarzy,
drgnęły tajemnic zasłony.

W rozdrganej mgle oszołomień
przez kształty rzeczy widome
żarem prześwieca ów płomień,
co zniszczy wszystko znikome.

I z blizka brzmią i z daleka
rytmy zwycięstwa i chwały —
o serce, serce człowieka,
twoje to grają hejnały!

Witaj najwyższa rozkoszy,
jedna na ziemi i w niebie!
— żadna cię burza nie spłoszy,
wszystko jest w tobie i z ciebie.

W kopule dumy strzelistej
podniebne dzwony szaleństwa
huczą twój tryumf wieczysty,
tryumf zrodzony z męczeństwa.

Wyrwana z czasu oplotów
twoja to chwila rozbrzmiała — —
o święta tajni żywotów,
na wieki chwała ci! chwała!

C I A Ł A   K O B I E T.

Ciała kobiet — sznur pereł — przedziwne różańce,
którymi się do życia modlą Don Juany —
ciała kobiet — błysk tęczy w pian kipiących bańce —
na pustyni pożądań mdłe fatamorgany.

Ciała kobiet — drzwi szczęścia — bajeczne Sezamy
z czarowaną gusłami kłamstw miłosnych klamką —
ciała kobiet — lotosy najwonniejsze Brahmy —
owoce z drzewa życia z butwiejącą plamką.

Mgły opiumu, narkozy z esencyi różanej,
muszkatelowe gałki, czary słodkich trunków —
przeciwko czczościom nudy święte talizmany,
zapisane deseniem gorących całunków.

Ciała kobiet — dyabelskie krzesiwa i hubki
błędnych ogni miłości na mrocznym moczarze —
Aladynowej lampy rozbite skorupki,
zbierane okruchami po życia obszarze.

Ciała kobiet — okrętom pogrążonym w ciszę
jawiące się obłoki z nadziei podnietą —
ciała kobiet — muzyki zawrotnej klawisze —
ciała kobiet — puch marzeń — wszystko to — i nie to.

SŁONECZNOŚĆ.

Słoneczność kocham w naturze i w sercu
w promieniach myśli i w kwiatów kobiercu,
w mądrości złotej, co mękę odpłaca,
w dobroci jasnej, co życie wyzłaca.

Słoneczność kocham w kryształach błękitu,
w klejnotach fali, w źrenicach zachwytu,
w wichurze szczęścia, co złotym tumanem —
leci nad światem z radości peanem
i wszechstworzeniu swych skrzydeł szelestem
dźwięczy i skrzy się i woła wciąż: jestem! —

Żywio! cudowna błędnico,
przemożnych pragnień rodzico,
jawna i skryta!
W kwiatach i sercach się pleni
twych cudotwórczych promieni
moc niepożyta.

Co wiosnę faunowie leśni
ścigają echo twej pieśni,
życia królewno!
Na ziemi, morzu i w niebie
twoje się tchnienie kolebie
falą rozlewną.

A przecziże — śpiewaczka boża —
żeglarzy wiedziesz w bezdroża
przez morskie grzywy?
O skały rozbij ich łodzie,
lecz błękit pokaż im w wodzie
i cud swój żywy! —

Czekam na ciebie —
myśli się płoszą —
czekam na ciebie —
o, przyjdź z rozkoszą!

O, przyjdź w piękności
cudnym bezwstydzie!
o przyjdź! niech myślę,
że młodość idzie —

— że młodość moja
wraca stęskniona
w moje ramiona —
w moje ramiona — —

PIEŚŃ WIOSENNA.

Jak wiosennych dni ulewa
rzewna radość wzbiera w sercu —
na wiosennym łąk kobiercu
dusza moja hymn swój śpiewa —

i wszystkiemu błogosławi,
co się w toni światła pławi —
co na żywej igra fali —
co się wdzięczy, co się pali —

co się pali — co się płoni
blaskiem życia dookolnie —
co się płoni — co się goni
wirowaniem sił swawolnie —

co tęczowem krąży kołem
w duszach, ziemiach, słońcach — wszędzie —
co wraz ze mną było — będzie —
z czem mój ślub w wieczności wziąłem.

I przypomniałem, żem ja jest syn
świetlanej ducha krainy,
sam jeden w świecie — z brzemieniem win,
sam jeden — ale — jedyny.

I przypomniałem, że ja mam straż
nad potęgami onemi,
co zapatrzone w boga twarz
pięknieją kształtem na ziemi.

I przypomniałem, żem ja jest żyw —
przez wszystkie wieków koleje —
idący spełnić życia dziw —
moc ziścić, ziścić nadzieję.

PIEŚŃ POJEDNANIA.

Oto narodził się wam człowiek —
o, drzewa! — ptaki! — aniołowie! —
zbratany sercem duchom, ptakom —
a bujny życiem jak listowie.

Atoli niemoc, ból i żałość
już od kolebki przy nim stoją — —
zato mu cudną pieśń śpiewajcie —
niech się mu sny o szczęściu roją!

Niech się nauczy śpiewać z wami;
niech się nauczy żyć ogromem;
dom wasz powietrzny i świetlany
niech będzie także jego domem!

Z wami — o, drzewa — niechaj kwitnie
radością życia brat wasz młody;
u ramion skrzydła niech poczuje,
gdy pozna cudnej czar urody!

— A wy — o, duchy niewidzialne —
strzeżcie w nim zawsze myśli boskiej,
by wzwyż go wiodła — nieskalana
przez brudną nędzę brudnej troski!

Niech cudna złuda go opęta
i dziwne prawi mu powieści
o niewysłownych czarach życia —
o tem, co w głowie się nie mieści!

— A kiedy wreszcie brat wasz biedny
pozna, że wszystko jest inaczej —
— o, drzewa! — ptaki! — aniołowie! —
brońcie go wówczas od rozpaczy!

Bo drogę jego, co być miała,
jak górskich szczytów szlak samotny,
rychło zamieni los szyderca
w manowiec życia kręty, błotny.

— A gdy tak zajdzie — — gdzie nie trzeba—
skąd już nie będzie umiał wrócić,
wtedy śmiertelną kołysankę,
zacznijcie mu do ucha nucić.

Powiedzcie wtedy znużonemu,
że wszystko ciągle z nim jest jeszcze —
drzewa i ptaki i wy, duchy,
w powietrzu wolnem — wolne — wieszcze.

Niech dumny spojrzy w świat dokolnie,
bo nieobjęty cud posiędzie — —
gdy rzuci wszystko, co zwał swojem,
w braterstwie żywych — żywym będzie.

— O życia z śmiercią obcowaniu
chórem śpiewajcie mu — posłowie
nowiny dobrej i ostatniej! —
— o, drzewa! — ptaki! — aniołowie! — —

OPLOTY KWIATÓW.

Znikome pierzchliwe jak skrzydła motyle
kwiatami miłości oplotły mię chwile,
czerwieniąc się kręgiem i bieląc —
a oto chłód powiał z pomroków wylęgły
i kwietne się sploty miłości rozprzęgły,
puch barwny pod stopy mi ścieląc.

I czułem na skroniach, na piersiach mych jeszcze,
jak lecąc płatami wian kwietny szeleszcze:
— ach, wszystkie sny twoje przekwitną —
Więc chwilę w tajemnej zmagałem się walce
i wziąłem garść puchu i sypiąc przez palce
rozwiałem go w przestrzeń błękitną.

A wicher swobody już grał mi we włosach —
już szedłem, już biegłem, już rosłem w niebiosach,
wciąż nowych spragniony rozkwitów.
Hej, puchy miłosne, kwietniane ponęty!
zatańczcie mi dołem w tęczowych barw skręty
pod skrzydłem lecącem do szczytów.

MYŚLI PRZEPASTNE.

Przezemnie płynie życie tajemnicze —
przezemnie płynie fala niewstrzymana —
Czem jest to moje dzisiejsze oblicze,
na którem wyrok swój pisze przemiana?

Czem jest me «dzisiaj» i czem moje «wczora»?
co znaczy nagła ducha błyskawica,
co chwilę żywą i przeszłość — upiora
w jeden splot czucia tajemny pochwyca? —

Gdzież kres mej drogi? i cóż cel mi znaczy, —
gdy się pragnienie bez kresu pomnaża,
to tylko ceniąc w mej drodze tułaczej,
co się przezemnie w chwili zwycięstw stwarza? —

Z A K L Ę C I A.

Wędrowniku spragniony przestrzeni,
na tej drodze, co w bezmiar urasta!
— słyszysz gwar ten, krzyk, wołanie miasta?:

— Czego szukasz tam na nieboskłonie?
Dam ci rozkosz, rozkosz oszołomień,
w splot mych ulic pochwycę namiętnie;
zostań! zostań! — słyszysz? — tensam płomień
huczy w mojem, co i w twojem tętnie.
Czego szukasz tam na nieboskłonie?!

Wędrowniku spragniony przestrzeni,
na tej drodze, co pnie się w lazury!
— słyszysz głos ten? — wołają cię góry:

— Czego szukasz tam na nieboskłonie?
Zostań! zostań! daleko od świata
nieskończona obejmie cię głusza,
wiatr przyleci i z tobą się zbrata
— wiatr swobodny, dziki jak twa dusza —
Czego szukasz tam na nieboskłonie?!

Wędrowniku spragniony przestrzeni,
na tej drodze zgubionej w przestworze!
słyszysz? — tętnią, huczą oceany:

— Czego szukasz tam na nieboskłonie?
Tam już brzegu nie znajdą twe oczy —
śpiewem życia nad grobem żywotów
toń wieczystej odbrzmiewa roztoczy —
łódź twa czeka — i żagiel twój gotów.
Czego szukasz tam na nieboskłonie?!

O, czuć, o słyszeć wszystkie świata tony
grające życia czar niewysłowiony!
Tonów harmonię dostroić do tonu
co jest najwyższym dźwiękiem ducha treści
i tej muzyce wiernym aż do zgonu
pozostać w doli szczęścia i boleści —
tak więc czyn dni swych spełniwszy w zachwycie,
muzyką ducha wydzwonić swe życie! —

Życie rozwija się w krąg —
Siło konieczna!
niczyich uciech ni mąk
nie żądasz wcale
a pragniesz tylko by wieczna
pełnia twojego jestestwa
tysiącem kształtów i tworów
ku twojej płonęła chwale.

Czemże kolebka i grób?
Na popieliskach zgliszczy,
na gruzach dawnych bożyszczy
cokolwiek stanie —
zwycięski porwie je prąd
i rzuci w odmęt na łup
życia przemianie.

Gdy skarg wołaniem bezsilnem
ludzka się rzesza miota
u twardej doli powroza,
gdy lęk i groza
lodowym wskazują palcem
próchno, co blaskiem mogilnym
prześwieca radość żywota —
o wtedy, mroczna królowo,
pociechy litosnej słowo
z ust twych nie płynie
i patrzysz, ty niewzruszona,
na serce, co w bólu kona,
w zwątpień godzinie.

— Ale kto w tajnych
wnętrznościach swego istnienia
czuje twych sił życiodajnych
wszechtwórczą łaskę —
kto z twego boskiego tchnienia
przejmie w swe piersi ów żarny
potężny oddech swobody,
co z troski marnej
oczyszcza duszę jak z plewy,
ten ponad świata niesnaskę

wzniesiony rozbłyśnie — młody —
i z jasnem zwycięzców licem
przed tobą stanie bożycem.

Jemu, ach, tylko jemu
przez świata znikome dzieje
promienny cud twój pięknieje,
jemu, ach, tylko jemu
szepczesz radosną nowinę,
żeś ty jest matką żywotów,
co z nimi kona,
by się milionem oplotów
odradzać w każdą godzinę
i róść i tętnić i płonąć
i wichrem tworzenia wionąć
przez serca, ziemie i słońca
— moc nieskończona.

Wtedy wybraniec on boski
szalonym skrzydłom twych żagli
łódź swą zawierzy bez troski
i wszystkie swoje zdobycze
pokocha i wszystkie straty
i wszystkie złudy i znicze

ofiarne i wszystkie światy
i wszystkie swoje odjazdy
którymi w bezmiar go nagli
nieukojona tęsknota —
tajemne lśnienie tej gwiazdy
co w twym dyademie połyska
chwałą żywota.

SPIS RZECZY.

Str.